№ 10

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 3 LUTEGO. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1836.

NIEKTÓRE ZNAKOMITE OSOBY NASZEGO WIEKU W DOMOWEM POŻYCIU.

PRZEZ PANIĘ DE ST. ELME.

Pan Guilbert de Pixérécourt, o którym rzadko dzisiaj kto wspomina, jest-to jeden z owych zręcznych ludzi, co umieją zjednać sobie korzystne położenie i długo w niem się utrzymać. Uczynił dla melodramy to, co P. Scribé później dla wodewilu, którego posiadł monopolium i wieniec, prócz tego znaczny zebrał sobie majątek. Pan Pixérécourt zajmował przed kilku miesiącami piękny apartament przy ulicy *du Temple* (w Paryżu.) Jest-to człowiek pięćdziesięcioletni, nieco przygruby, dowcipny, uczony aż do wysokiej erudycyi. Biblijoteka jego, bogata i liczna, zamyka najrzadsze i najkosztowniejsze wydania. Autor *Kalasa* tak wielkie mnóstwo ksiąg posiada, iż zapach pergaminu i skóry jest wonią głównie panującą w jego pomieszkaniu. Posiada prócz tego piękny zbiór autografów; przed dwoma laty kupił bardzo drogo list przypisywany sławnemu Montaigne. Po baczniejszem jednakże roztrząśnieniu, dowiódł biegły biblijograf, że list ten nie był pisany ręką autora dzieła: *Les Essais*, i kazał sobie oddać sądownie 1,200 franków, które zapłacił za ten stary szpargał. Powracając go, narzekał gorzko na to odkrycie, mówiąc, że chętnie byłby zapłacił trzy razy tyle za sam własnoręczny podpis Montaigna.

P. Becquey, który przez tyle lat trudnił się redakcyją artykułów teatralnych przy dzienniku *des Débats*, podpisywanych zwykle literą *R.*, schronił się do małego pokoiku ulicy *Vincennes*, gdzie pędzi życie *z łokciem opartym na odzie Horacyjusza: Ad amphoram*, jak wyraża się P. Loève-Veymars. Poczciwa służąca czuwa nad nim jak matka i otacza duże dziecko najczulszemi staraniami i baczną pieczołowitością.

Teraz przejdźmy na ulicę *de Larochefoucault*, do tegoczesnych Aten, siedliska tylu sławnych artystów i pisarzy. Tam-to mieszkają: Pani Haudebourt-Lescot, której dom przypomina rzymską willę; Henryk Monier, Księżna d'Abrantés, Desboeufs, Margrabia de Coustines, Picot, Lépaulle i tylu innych; co krok pracownia artysty, co krok znakomite imię.

Wejdźmy w ten długi dziedziniec... Oto ogród rozkoszny i marmurowa fontanna, z której z lubym szmerem wytryska świetny snop najczystszej wody. Nie zatrzymuj się, gdyż marmurowy przysionek roztwiera przed tobą podwoje, i Panna Mars czeka cię w zwierciadlanym gabinecie, przypominającym wszystkie złudzenia oryjentalnych czarodziejstw. Pałac ten oddycha wdziękiem, wytwornym gustem i doskonałym taktem sławnej aktorki. Nie masz tu nic ani za wiele ani za mało; artysta niby nie wymyślił piękniejszego; elegantka z przedmieścia Saint-Germain lepiejby ozdób nie rozporządziła.

Obok mieszkała Panna Duchesnois, która tak srodze wypokutowała w zapomnieniu i boleści całe życie sławy i uwielbienia; Panna Duchesnois, która

rok cały pasowała się z najokropniejszemi męka-mi, szukając w około swego łoża tych, których otaczała niegdyś swoją sławą i szczęściem. O! coż za smutną i okropną naukę przedstawia ta kobieta, której żebrano niegdyś spojrzenia, — której samo imię zwabiało nieprzeliczone tłumy do teatru francuzkiego, a która umierała jak zwalone bożyszcze! W tymże samym domu widziałam ją pyszną i ślachetną jak władczynię, otoczoną sławnymi artystami, najchlubniejszemi imionami naszego wieku! — Widziałem ją później ubogą, umierającą, marzącą jeszcze o powrocie na scenę! — Widziałem, jak potem konieczność wygnała ją z jej pałacu... Widziałem nakoniec, gdy już umarła, jak sprzedawano przez publiczną licytacyję jej kostiumy, meble, łóżko... I dotąd jeszcze nie zebrano dostatecznej summy na wystawienie pomnika tej, której teatr francuzki nie posiada nawet gipsowego popiersia!

Dwaj inni mieszkańcy tej ulicy są: Paweł Delaroche i Horacy Vernet. Domy obu tych sławnych malarzy tchną gustem prawdziwie artystycznym, a pracownie ich, szczególniej Pawła Delaroche, są-to prawdziwe świątnice, do których mała tylko liczba wybranych, pysznych z tego pierwszeństwa, przypuszczaną bywa. W jednej z nich ujrzysz Horacego Vernet, z młodzieńczą, pełną wyrazu, głową, podporucznikowską żywością, przenikliwem i czynnem okiem. Białe pantalony i kurtka, pas szkarłatny, stanowią cały jego ubiór przy pracy. Nie troszcząc się o łoskot i ruch, panujące w około niego, Horacy Vernet wykończą zaczęty obraz, zadziwiając, nie pośpiechem z jakim maluje, gdyż ręka jego zwolna zdaje się posuwać, lecz czarodziejskiem prawie zwiększaniem i rozwijaniem się obrazu. Nigdy bowiem sławny artysta napróżno nie pociągnie pędzlem; bo ręka jego tak jest pewna, rzut oka tak trafny, iż rzadko bardzo zdarza mu się zmazać wątpliwy odcień.

Jeżli wejdziesz do pracowni Pawła Delaroche, wchodź cicho, aby nie przeszkodzić temu człowiekowi zimnej i tęschnej twarzy, który rozmyśla przed płótnem, i zdaje się raczej słuchać fantastycznego, dalekiego brzmienia uroczystego organu. Stań na ustroniu, a wkrótce ujrzysz młodą kobietę, cudownej piękności, która, stanąwszy obok artysty, oprze delikatną rączkę na jego szarej trykotowej kurtce i z lubym powita go uśmiechem. Poznasz w rysach nowo-przybyłej Joannę Grey, obrazu Delarocha; poznasz w niej ów wdzięk skromny, który artysta powtarza pomimowolnie, ile razy maluje twarz kobiecą; poznasz córkę Horacego Vernet, a małżonkę Delarocha.

Teraz opuść nowe Ateny, przejdź ulicę *de la Bruyère*, gdzie mieszkał Arnault, autor *Germanika*, ostatni szermierz, który jeszcze odważnie walczył za klasyczną szkołę; a przyszedłszy na ulicę *Męczenników*, wejdź na dziedziniec eleganckiego domostwa. Na lewo są małe schódki prowadzące do ciemnego przedpokoju, a ztamtąd do obszernej pracowni. Jesteś u Gustawa Lepaulle.

Pracownia ta jest arką, gdzie się znajdują nagromadzone, nie wszystkie zwierzęta ziemi, lecz wszystkie utwory sztuki. Oto ze dwadzieścia wzorów rozmaitych statków, począwszy od szalupy, aż do trzymasztowego okrętu; ptaki wypchane, poprzyczepiane do sufitu niedojrzałą nitką jedwabiu, zdające się unosić w powietrzu. Utwory wszelkiego rodzaju krzyżują się i odstrzeliwają od siebie; skielet okrętu obok nadobnej twarzy nimfy, krajobraz przy murzynie, pies gończy obok rzymskiego mędrca.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, podziwiaj liczne portrety, wznoszące się na masztach stalug i porozwieszane po ścianach. Oto Panna Varin; jakże piękna! jak poetyczna!.... Rozkoszne uczucia przejmują tę córkę ducha ciemności, przypatrującą się pierwszy raz swoim powabom w zwierciedle; gdyż Lepaulle oblekł Pannę Varin ubiorem *Mirandy* w balecie *Pokusa*. Lecz Panna Varin nie potrafiła pojąć Mirandy, podobnie jak ją teraz pojęła Panna Duverney, i nadać jej owego wyrazu skromności, który tak dobrze jej przypada; Miranda zatem dla Panny Varin i Lepaulla jest jeszcze kobietą szatanem, pojącą się blaskiem swej urody i pragnącą jedynie uwieść samotnika.

Obok Panny Varin, — pomiędzy odaliską i portretem Panny Forster, najpiękniejszej z pięknych tancerek opery, — wznosi się obraz surowy, uczucie smutku wzbudzający. Jest-to mężczyzna na statku, w rozkazującej postawie; jest-to Admirał de Rigny, zmarły przedwcześnie, pośród tego wszystkie-

go, co zaszczyty, sława, majątek, szczęście domowe, mają w sobie upajającego. Zwycięzca pod Nawarynem, Minister zaszczycony powszechnem uszanowaniem, szczęśliwy małżonek, mający wkrótce zostać ojcem, Pan de Rigny ujrzał znikające wszystkie sny swoje, aby umrzeć wśród najokropniejszych męczarni! Obraz jego przynajmniej pozostanie, a muzea nasze będą mogły podać przyszłym pokoleniom rysy zwycięzcy Nawarynu. Gdy Lepaulle ożywia na płótnie wzór wzięty z własnych zwłok jego, biegły snycerz Desboeufs pracuje nad marmurowem popiersiem sławnego żeglarza.

Porzućmy te myśli grobowe; pójdź za mną luby czytelniku na ulicę Świętego-Jerzego, do tego ładnego domku. Mnogie powozy cisną się przed bramą, młode i piękne panienki, z kajetem pod pachą, śpieszą prowadzone przez matki; młoda bowiem artystka również bez matki jak i kajetu pokazać się nie może. Z tym tłumem bogaczów i artystów mięszają się znakomitości teatralne: oto Maryja Flecheux, w czarnej jedwabnej sukni; oto Panna Falcon, z włoskiemi rysy, namiętnem spojrzeniem, naiwnym uśmiechem. Wszyscy wesoło wstępują na białe kamienne wschody, a kobieta z akcentem i ułożeniem włoskiem otwiera im, i wprowadza ich do salonu, w którym przyjmuje ich mężczyzna twarzy pięknej, regularnej lecz zimnej. Jest-to Bordoni; Bordoni, ów sławny śpiewak, który chciał być czemsiś jeszcze więcej i sławnych potworzył śpiewaków; Bordoni, nauczyciel, twórca czystego, łatwego, ulotnego śpiewu Pani Damoreau; Bordoni, mistrz Pani Dorus-Gras, Panny Flécheux i Panny Falcon.

Prócz klawikordu i młodej panienki, pięknej, białej jak Francuzka, chociaż przemawia językiem Torkwata Tassa, nic u Bordoniego nie wykrywa artysty. Lecz jeźli pozostaniesz przytomnym lekcyi sławnego mistrza, jeźli będziesz świadkiem jego cierpliwości, wyśmienitego gustu, doskonałości, jaką umie nadawać najdoskonalszemu nawet talentowi, wówczas powiesz: »oto wielki artysta!« i pojmiesz, jakim sposobem przybycie Bordoniego do Francyi zupełną zaprowadziło zmianę w sztuce śpiewu, i zadało śmiertelny cios owym wrzaskom, które dotąd zwano muzyką francuzką.

PASTERZ Z ETTRYKU.

Są ludzie, którzy się rodzą z przeznaczeniem do jenijuszu, i pyszni tą tajemniczą potęgą, opierają się losowi i wychodzą zwycięzko z tej walki, aby zająć miejsce pomiędzy ludźmi sławnymi. Błędnem więc jest mniemaniem naznaczać człowiekowi byt, który zdaje się mu narzucać stan tych, co mu życie dali. Ileż-to dzieje przedstawiają nam podobnych przykładów! Ileż-to osób, przeznaczonych do prostych i materyjalnych robót, wzniosło się mocą własnego pojęcia, zostawiło nam arcy-dzieła i wiek swój blaskiem swojej sławy oświeciło! Podobni ludzie, stanąwszy raz na szczycie chwały, lubią zwykle rzucać na przeszłość spojrzenia, z rozkoszą przyglądać się punktowi, z którego wyruszyli, i przypominać sobie wszystkie zawady, napotykane na przebytej drodze.

Tak-to jeden z największych tegoczesnych poetów, James (Jakób) Hogg, lubił słyszeć się nazywanym *Pasterzem z Ettryku*, i bardziej pysznił się z tego tytułu, niżeli z tych, które mu nie jedna przyznała akademija. Wielki ten jenijusz zgasł będzie temu zaledwie kilka tygodni.

R. 1772, 25 stycznia, w Ettryk, w jednej z najnędzniejszych chat szkockich, zamieszkałej przez biednego pasterza, urodził się James Hogg. Biedny ten chłopczyna żadnego nie odebrał wychowania, i w siódmym roku życia musiał paść krowy, dostając co pół roku w zapłacie parę trzewików i jagniątko. Pewien duchowny zajął się nim i nauczył go czytać. Była-to jedyna edukacyja, którą był winien innym a nie sam sobie. Mając lat piętnaście pasał jeszcze owce. Młoda i ładna pasterezka, Lassie Winland, obudziła w nim pierwszą iskrę miłości, tak rozkoszną dla duszy czułej i poetycznej, jaką był obdarzony James. Upodobanie do muzyki poprzedziło w nim gust do poezyi. Za pięć szylingów, owoc czteroletniej oszczędności, kupił sobie na jarmarku niegodziwe skrzypce, na których przez pracę i uporczywe wytrwanie potrafił nakoniec wygrywać wszystkie pieśni szkockie. W ośmnastym roku, James Hogg dostał się do służby, do bardzo zacnego pana, który znacznie polepszył los jego i pożyczał mu nawet niekiedy książ-

łek. Tam sprobował, w szkockich rymach i na starodawną krajową nótę, ułożyć myśli rojące się po młodzieńczej jego głowie. Wieszcze jego natchnienia zachwycały młode dziewczęta; a gdy go spotkały w polu, witały go temi słodkiemi wyrazy: »Dzień dobry James, mały nasz poeto.«

Pyszny tem pierwszem powodzeniem, za pomocą kawałka drewna, który maczał w flaszeczce przywiązanej do pasa, skreślał ogromnemi głoski, naśladującemi drukowane litery, myśli, któremi go natchnęły dzikie gór samotnie.

R. 1799, James Hogg był tylko jeszcze wiejskim śpiewakiem, a żądza poetyckiej sławy czyniła go igrzyskiem wieśniaków, wyśmiewających się z niego. Żądny wstępować w ślady Burnsa, nauczył się pisać czytelnie i zjednał sobie zaszczyt być przedstawionym Walter-Skottowi.

Wstęp jego w zawód literacki odznaczony został przykrem upokorzeniem: ballada *Donel-Makdonald* wielkie zyskała poklaski i wydana była bezimiennie, a niejaki Oliwier wydarł bezczelnie Jamesowi sławę, która okryć go miała.

James Hogg, uzbierawszy sobie 10,000 fr., kupił folwarczek, którym tak źle zarządzał, iż niezadługo znowu ujrzał się w nędzy. Potrzeba zmusiła go wówczas chwycić się wydawania tygodniowego dziennika; później został założycielem czasowego pisma *Blackwood's Magazine*, którego reputacyja wkrótce stała się europejską.

Stawszy się przyjacielem Walter-Skotta, Coleridga, Wordswortha, Southeya i Lockarta, codziennie nowego nabywał talentu, i zasłużył zostać policzonym do sławnych ludzi Szkocyi i swojego wieku.

Wydał przeszło dwadzieścia pięć tomów prozą i wierszem, a pomiędzy jego poematami odznaczają się szczegulniej: *Mador*, *Pielgrzymi słoneczni*, *Wróżka Browina z Bodsbeku*, oraz mnóstwo ballad i pieśni.

MONOMANIJE NIEKTÓRYCH KOMPOZYTORÓW.

Dziwną jest rzeczą, jakim sposobem wielcy kompozytorowie podniecali swój jenijusz, i jakich środków zażywali do obudzenia w sobie natchnień. Haydn był jeden z najspokojniejszych kompozytorów. Nie potrzebował bynajmniej podbudzać swojej wyobraźni szampanem, lecz miał swego *spiritus familiaris* innego rodzaju. Duch ten opiekuńczy, był-to kosztowny pierścień brylantowy, dar Fryderyka Wielkiego. Gdy siadał do pracy, a niekiedy myśli nie chciały być posłuszne jenijuszowi, swój pierścień jedynie o to oskarżał: zapomniał włożyć go na palec. Skoro tylko dobroczynny pierścień wrócił na zwykłe swoje miejsce i oko kompozytora mogło się napawać dowolnie blaskiem dostojnego daru, najcudowniejsze natchnienia rozpłomieniały jego duszę.

Gluk, dla pobudzenia władz swoich twórczych, potrzebował koniecznie uciekać na zielone łąki. Tam kazał przynosić swój klawikord; obok stała butelka szampana, i tak podniecany ogniem i słońca i wina, układał najsławniejsze swoje opery.

Sartego system był zupełnie sprzeczny: miał zwyczaj zatarasować się jak najstaranniej w obszernej i ciemnej sali, którą zaledwie maleńka oświecała lampka, i nadawała jej pozór grobowej pieczary. Tam, wśród nocy, ponurem okolony milczeniem, układał pienia swoje, pełne życia i świeżości.

Zingarelli jeszcze bardziej nadzwyczajnego sposobu używał na wzbudzenie w sobie natchnienia. Ile razy miał siadać do pracy, zawsze odczytywał jakowe pobożne dzieło.

Salieri unikał salonów podobnie jak i książek, i podniecał swój jenijusz wpośród wrzawy tłumu. Przebiegał wzdłuż i szerz rynki i ulice, zajadając cukierki; potem wracał do swego gabinetu, aby zapisać skarb uzbieranych myśli.

Paër napisał swego *Sardzina* i *Achillesa* żartując z przyjaciołmi, łając służących, igrając ze swoim psem, kłócąc się z żoną i dziećmi.

Paësiello znowu w łóżku napisał swoją *Ninę*, *Molinarę* (Młynarkę) i swego *Cyrulika Sewilskiego*.
